

— Jeszcze dzień cały iść trzeba — odpowiadał flegmatycznie Jankes — wypakowywać nasze flagi to jeszcze żaden Interes.

— Tak, dla Sportu... — usprawiedliwiał się Anglik; to była jego stała odpowiedź.

Norweg nie mówił nic, bo właśnie modlił się w duchu o powodzenie ostatniego dnia wyprawy — dziwił się tylko bardzo swoim towarzyszom.

— Ten oto robi wszystko dla Sportu — myślał zgorzchniony — a tamtemu nie schodzi z ust Interes. Dziwni ludzie; w pobliżu bieguna mówią o takich rzeczach zamiast myśleć o chwale Boga, Ojczyzny i Wiedzy. On bowiem dążył do bieguna z myślą o tych trzech ideałach.

Spieszyli się wszyscy podróżnicy bardzo. Krzyczeli na swoje psy, popędzali je i przynaglali, bo już chcieli się znaleźć u celu. Mknęły pieski chyżo z wywieszonymi jęzorami, płozy sań ślizgały się błyskawicznie, jak łyżwy po iskrzącym, puszystym śniegu, a ludzie okutani w futra i kożuchy biegli obok nich, wymachując biczyskami i wyrzucając przed siebie nogi w grubych, wysokich butach.

Pędząc tak bez wytchnienia przez dzień cały zmęczyli się bardzo. Spotniały im oblicza, oddychali ciężko i szybko, nogi odmówiły im posłuszeństwa. Wstrzymali sanki wśród ogromnej płaszczyzny śniegowej po której pędzili (ciągnęła się ona wzdłuż morskiej zatoki), rozglądali się przez trzy sekundy po okolicy, gdzie na prawo od nich wznosiły się nieduże śniegiem pokryte pagórki i siadłszy na saniach usnęli. Anglik i Jankes usnęli na-

tychmiast, a Norweg dopiero po chwili, przypomniał sobie bowiem, że to dzień Bożego Narodzenia i że dlatego wypadałoby modlitwą uczcić Boże Dziecię. Kląkł na śniegu, zmówił pacierz... porozmyślał chwilę o rodzinie, którą zostawił w dalekim Trondjehmie, o malutkim synku Eryku, który pewnie teraz skacze naokoło ślicznej, pachnącej lasem choinki... przypomniał sobie że nie zrobił pomiarów dla sprawdzenia, jak daleko znajdują się od bieguna... i zasnął...

— Nagle ujrzał coś, co go mocno zadziwiło...

Podniósł się z sanek i osłoniwszy dłonią oczy, wpatrywał się pilnie w dal... Jakiś malutki, dziwny przedmiot toczył się po śniegowej płaszczyźnie, wprost ku saniom wędrowców... Co to mogło być.

Nagle zaśmiał się wesoło i pisał w dłonie.

Ach, jakie to pocieszne...

Szło ku niemu milutkie, drobniutkie dziecko ledwie od ziemi odrosłe. Główkę podniosło odważnie do góry, grubemi, tłustemi rączkami machało w powietrzu utrzymując równowagę, a nóżki stawiało dzielnie w białym, puszystym śnieżek, maszerując wciąż naprzód...

Ach, jakież to rozkoszne maleństwo... — roztkliwił się Norweg. — Przecież to chyba nie mój Eryk... Skądżeby on się tu wziął. Zresztą Eryk jest trochę większy... ma już całe dwa lata...

Malutki podróżnik dotarł do sanek i podniósł na Norwega cudne gwiazdziste oczy...

— Proszę pana...

Podzieliwszy się na 3 oddziały po 3 uczniów, udaliśmy się około godz. 7 wieczorem różnymi drogami do lasku i spełniliśmy nasze zadanie. Któż się jednak będzie dziwił, że wojownicy ci wywarli swoim poświęceniem na nas młodych takie wrażenie, iż uważaliśmy ich wszystkich bez różnicy nie tylko za bohaterów i męczenników, ale za największych dobroczyńców naszej ojczyzny i z zapamiętaniem ucałowaliśmy te ręce, które porzucając spokojną zawodową pracę, zapewniając im utrzymanie i dobrobyt, pochwyciły za broń, aby wyprzeć naszych ciemieńców.

Rozczuleni powstańcy opowiadali nam swoje przygody, nadzieje i bólesci, mówiono o życiu obozowym, pełnem nieraz humoru, mimo zimna, głodu i bezsenności, a myśmy z zapartym oddechem i łzami w oczach wchłaniali w siebie te opowiadania, aby je potem między swoimi powtórzyć. Najbardziej jednak utkwiły nam w sercu i zabolowały nas słowa jednego ze starszych, który prawie z płaczem dowodził, że powstanie upaść musi, bo mało ma poparcia ze strony samych Polaków, że kiedy setki tysięcy powinny stanąć z bronią w ręku i upomnieć się o swoje prawa, zaledwie tylko niewielka ilość bierze udział w boju i życie dla wolności poświęca.

Rozżaleni i smutni wróciliśmy do domów. Kiedy na drugi dzień przybyliśmy do szkoły, zaczęto potajemnie z rąk do rąk podawać sobie arkusz papieru, na

którym było w kilku słowach gorących napisane wezwanie, aby każdy z uczniów, który się tylko czuje Polakiem, podpisał się na to, że w dniu później oznaczyć się mającym, przybędzie do kapliczki św. Walentego za cmentarzem i stamtąd pójdzie razem z innymi, za Wisłę, aby wspólnie ze starszymi bronić niepodległości narodu. Wezwanie to, podpisane przez ucznia Jana Klinga, podawali sobie w największej tajemnicy uczniowie trzech najniższych klas, bo do nich właśnie odezwa ta się stosowała — i zapisywali się na arkuszu.

Po kilku dniach zeszło się przy kapliczce przeszło 80 małych gimnazjalistów, którzy obrawszy Stanisława M. za przewodcę, postanowili raniutko na drugi dzień udać się w drogę ku Partyniowi, odległemu o 2 mile od Tarnowa. Ośmiu jednak gorętszych nie chciało czekać aż do dnia następnego, ale poszli natychmiast, obiecując nam we dworze przygotować śniadanie. Ponieważ wielu uczniów posprzedawało książki szkolne i zapatrzyło się w niewielką gotówkę, nie chcieli wracać do domów ale postanowili przenocować gdzieś i umieścili się na noc w ogrodzie mej matki, gdzie był podówczas skład desek, a więc miejsce dość wygodne na nocleg.

Nazajutrz rano o godzinie 6 wyruszyliśmy w drogę. Jakież jednak spotkało nas przykre rozczarowanie! Oto może w pół drogi do Partynia zobaczyliśmy na podwładach naszych 8 kolegów, jadących w towarzystwie zan-